

„Rzeczpospolita”, 6-7 lutego 2010 r.

Polityka zagraniczna - horyzont 2020

Debata Klubu Ekspertów "Rzeczpospolitej"

Janusz Kochanowski,

Scenariusz, który przed nami się rysuje, jest dwojaki. Pierwszy to Polska jako rezerwuariat taniej siły roboczej dla krajów zachodnioeuropejskich, która podejmuje pracę przy zbiorze pomidorów we Włoszech, szparagów w Niemczech, w budownictwie w Irlandii. Potem ci ludzie wracają do Polski i kupują w supermarketach towary sprowadzane z krajów, w których pracowali. To jest czarna wizja Polski, która z pewnego punktu widzenia jest właściwie zbędnym krajem między Rosją a Niemcami, wizja kraju pozbawionego elit. To, co panowie nazywają elitami, temu mianu nie odpowiada. Lecę samolotem do Irlandii. Jest wypełniony prostymi, spracowanymi ludźmi, którzy nie mają swoich elit dbających o ich interesy.

Drugi scenariusz to scenariusz zarysowany przez George'a Friedmana: Polska jako mocarstwo środkowoeuropejskie. Notabene, jeśli Friedman przyjedzie do Polski i będzie miał wykład, na który go zaprosiłem, to go zapytam, jak on uzasadni tezę o przyszłej mocarstwowości Polski przy takiej słabej demografii i przy braku elit, które mogłyby ten scenariusz zrealizować.

Słowo o Polakach w strukturach Unii Europejskiej, od których obecności zależy pozycja naszego kraju. Polscy europosłowie głosowali niedawno, na moją prośbę, za kandydaturą socjalisty Diamandurosa na europejskiego rzecznika praw obywatelskich. Zwróciłem się z takim apelem, gdyż prof. Diamanduros, jako aktualny rzecznik, wystąpił kiedyś na moją prośbę z bardzo mocnym i skutecznym protestem przeciwko dyskryminacji kandydatów z państw nowej Unii Europejskiej na stanowisko w jej urzędach i instytucjach. Przy tej okazji zademonstrowana została waga poparcia polskich eurodeputowanych, którzy przerzucając swe głosy z Belga na Diamandurosa zdecydowali o tym wyborze. Zresztą najbardziej słusznym, gdyż pan prof. Daimanduros był bez wątpienia najlepszym kandydatem, odznaczonym w 2008 r. Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP. I za to chciałbym obecnie naszym europosłom podziękować.

Rafał Ziemkiewicz, publicysta „Rzeczpospolitej”

Pierwszych 20 lat polityki zagranicznej III RP z dzisiejszej perspektywy jawi się jako okres wielkiej szansy. Na czym te nasze 5 minut polegało? W największym skrócie na tym, że znaleźliśmy się w zupełnie zmienionej sytuacji geopolitycznej. Nie tylko z naszego punktu widzenia, ale w ogóle z punktu widzenia całej Europy. Mieliśmy do czynienia z sąsiadami zarówno ze Wschodu, jak i z Zachodu, którzy mieli własne kłopoty i musieli im poświęcać więcej uwagi.

Wyartykułowaliśmy wtedy wyraźnie, że czujemy się częścią Zachodu. Wydaje mi się, że to nie było oczywiste w roku 1989. I to nie było oczywiste jeszcze w roku 1991, kiedy rozmaite płynące z Zachodu sugestie lokowały nas w jakimś odtwarzanym bloku rosyjskim, bloku wschodnim. Sugerowano nam, żebyśmy się za bardzo nie domagali niepodległości krajów za naszą wschodnią granicą, żebyśmy sami nie przesadzali ze swymi aspiracjami.

Z całą pewnością, w moim przekonaniu, osiągnięciem największym, najlepszym wykorzystaniem naszych 5 minut było to, że załatwiliśmy sprawę, która dla nas jest zasadnicza, czyli sprawę naszej obecności w szeroko rozumianym Zachodzie. Nikt na nas dzisiaj nie patrzy jak na Ukrainę czy Mołdawię, czyli jako na część byłego imperium rosyjskiego, czy nawet na Słowację.

I tutaj się niestety moje pozytywne oceny co do minionego XXlecia prawdopodobnie kończą. Nie potrafiliśmy wykorzystać członkostwa w Unii Europejskiej tak, jak to uczynili Hiszpanie czy Irlandczycy. Udało nam się oczywiście zdobyć rozmaite dopłaty, które idą raczej na konsumpcję, a nie na infrastrukturę, tworzenie podstaw siły państwa. Jeśli dzisiaj nie możemy być pewni bezpieczeństwa energetycznego, jeśli rozmawiamy w dzień po tym, gdy się rozpadł z wielkim hukiem, chociaż starannie tłumionym, plan budowy autostrad, to widzimy, w jakim jesteśmy momencie, 20 lat po tym, jak mogliśmy zacząć wykorzystywać te szanse.

Dlaczego tak się dzieje? Wydaje mi się, że u nas nastąpiło kompletne odwrócenie porządku rzeczy. O ile rozsądne rządy krajem polegałyby na tym, żeby budować siłę wewnętrzną państwa i na niej budować jego pozycję zagraniczną, o tyle u nas dbałość o pozycję danej ekipy w polityce zagranicznej bardzo szybko ustąpiła miejsca przepychankom bieżącej polityki wewnętrznej. Partnerzy szybko to odkryli i nauczyli się nas rozgrywać zgodnie ze swoimi potrzebami.

Minister Sikorski w głośnym artykule zarysowywał alternatywę, która na pierwszy rzut oka wydaje się jedyną, przed jaką Polska stoi - czyli albo oparcie się na Rosji, albo na Niemcach. Jest jednak inna możliwość: budowanie pozycji Polski jako lidera państw w środkowej Europie. To była największa szansa minionych 20 lat i największa porażka. Polska nie znalazła w sobie potencjału i możliwości, a przede wszystkim woli politycznej zrealizowania takich dalekosiężnych działań, które spowodowałyby, że w rachunku między Rosją a Niemcami nie tylko liczyłaby się Polska, lecz istniałyby i kraje bałtyckie, i kraje dawnych AustroWęgier, i kraje takie, jak Białoruś czy Ukraina.

Mam wrażenie, że nasza polityka ostatnich 20 lat była typową ilustracją powiedzenia o "słomianym ogniu". Buchnął on bardzo wyraźnie w momencie, gdy pojawiło się atrakcyjne hasło: walczymy o członkostwo w strukturach zachodnich. Kiedy się w nich znaleźliśmy, najwięcej energii pochłaniało zdyskontowanie propagandowe zasług wprowadzenia Polski do Europy.

Można określić naszą politykę tych 20 ostatnich lat jako politykę naiwną. Wielokrotnie zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy zupełnie na serio, ze śmiertelną powagą traktowali to, co jest powierzchnią zdarzeń, dyplomatycznym rytuałem i językiem kryjącym rozmaite kanty, które w polityce muszą się ukrywać. Wiadomo, że Niemcy, gdy budują rurę bałtycką, nie będą mówić, dlaczego to robią, tylko będą mówić o tym, że wciągają Rosję do

Europy, że chcą, żeby Rosja się zdemokratyzowała, że silne związki gospodarcze spowodują eksport demokracji do Rosji itd.

Otóż nie w tym jest problem, że Niemcy tak mówią, tylko w tym, że my się często zachowujemy tak, jakbyśmy w to wierzyli. Jakbyśmy nie wiedzieli, o co w polityce chodzi naprawdę. A to rodzi rozmaite rozczarowania. I tutaj nie można nie potępić polskich elit tzw. opiniotwórczych, które zupełnie nie krzewiły i nie umacniały w społeczeństwie świadomości, że mamy swoje interesy narodowe, że musimy je realizować, że jest na to odpowiednia chwila.

Symboliczny moment, kiedy się nasze 5 minut skończyło, trudno określić. Być może było to spotkanie na Westerplatte, gdzie premier Putin złożył ofertę Niemcom: my, wielkie kraje, musimy wspólnie ustalić jakiś porządek, co było jednoznaczną zachętą do tego, by wrócić do tradycyjnej koncepcji "koncertu mocarstw" w Europie. Być może takim momentem jest niedawne orzeczenie niemieckiego urzędu federalnego, który stwierdził, że położenie rury bałtyckiej w taki sposób, że zablokuje ona polskie porty, w tym budowany Gazoport, jest zgodne z prawem niemieckim, w związku z czym nie ma najmniejszego powodu, żeby tego nie robić. A może tym symbolem, bardzo boleśnie pokazującym nam, cośmy zdołali osiągnąć, zwłaszcza w niepodjętej tak naprawdę pracy, by stać się liderem regionalnym, jest policzek, jaki na pożegnanie wymierzył Polsce prezydent Juszczenko, niezwykle tutaj kochany i popierany, mianując bohaterem narodowym Stepana Banderę.

Finlandyzacja Polski. Strachy na lachy czy realna groźba?

Paweł Kowal, Poseł do Parlamentu Europejskiego, były wiceminister spraw zagranicznych

Termin "finlandyzacja" ukuł w 1966 roku berliński profesor Richard Löwenthal dla opisu zimnowojennych relacji między Finlandią a Związkiem Sowieckim. Treścią pojęcia jest rezygnacja z działań - także w sferze dyplomatycznej - przeciw silniejszemu sąsiadowi na arenie międzynarodowej (a także w polityce wewnętrznej) w zamian za zachowanie ograniczonej suwerenności. W praktyce oznacza to, że objęte tym projektem państwo jak uwięziony w zamarzającej przerębli traci sterowność. Bez możliwości ruchu, formułowania własnej strategii rozwoju, skazane jest na budowanie ułudy, że przecież pływa.

Paradoks finlandyzacji polega na tym, że choć kojarzy się z Finlandią, to warunkiem, byśmy mówili o tym zjawisku jest Związek Radziecki czy Rosja z imperialnymi zapędami. Finlandyzacja jest specyficznym modus vivendi państw sąsiadujących z Rosją. Finlandyzacja nie ma jednak miejsca w oderwaniu od kontekstu międzynarodowego, ale wymaga, co najmniej milczącej, akceptacji innych aktorów międzynarodowych. I tak, kiedy Rosja nadal chce pozostać arbitrem na terenie dawnej strefy wpływów ZSRR, to liczy, że UE czy NATO nie będą się jej sprzeciwiać.

Wydawało się, że wejście Polski do UE i NATO ostatecznie wybije zęby finlandyzacji, ale wtedy okazało się, że organizacje te konsultowały rozszerzenie z Rosją, chociaż faktycznie nie było do tego przesłanek.

Należy zwrócić także uwagę na wydarzenia, które naruszyły program finlandyzacji. Pierwszym była niedoceniana wystarczająco decyzja Aleksandra Kwaśniewskiego z późnej jesieni 2004 roku o udzieleniu wsparcia pomarańczowej rewolucji na Ukrainie. Zaledwie kilka miesięcy po wejściu do Unii Europejskiej Warszawa skutecznie użyła mechanizmu wspólnotowego. Zdecydowanie polskich władz doprowadziło do przewyciężenia rosyjskiej dominacji w miejscu tradycyjnie uznawanym tak przez Moskwę, jak i niektóre kraje tzw. starej Unii, za znajdujące się w rosyjskiej strefie wpływów.

Także zakup przez polską firmę litewskiej rafinerii w Możejkach, czemu sprzeciwiała się Rosja, był próbą praktycznego wprowadzenia niefinlandyzacyjnych reguł w sferze ekonomii. Był sygnałem, że polskie firmy jak wszystkie inne mogą w naszym regionie inwestować w sektor energetyczny. Po raz trzeci wyraźnie przełamano finlandyzację, kiedy skutecznie użyto mechanizmów europejskich w sporze o handel mięsem, kiedy to Federacja Rosyjska bezpodstawnie wstrzymała import produktów rolnych z Polski.

Ostatnim jak dotąd przykładem przełamania logiki finlandyzacji, była osobista interwencja prezydenta Polski Lecha Kaczyńskiego w Gruzji w sierpniu 2008 roku, który stanął na czele misji europejskich przywódców do Tbilisi, czym faktycznie uniemożliwił dalszą agresję Rosji. Tym samym złamał niepisaną regułę, zgodnie z którą kraje takie jak Polska nie mają prawa interweniować w rosyjskiej strefie wpływów. Używana wówczas wewnątrz UE przeciwko niemu argumentacja niemal w 100 procentach potwierdziła, jak bardzo elity niektórych państw "starej Europy", w tym Polski, przywiązane są do uznawania finlandyzacji poszczególnych krajów dawnego ZSRR za coś normalnego. Powszechnie przecież mówiono wówczas, by "nie drażnić niedźwiedzia" czy "nie mieszać się w nieswoje sprawy" itd.

Groźba finlandyzacji Polski została skutecznie odsunięta. Zarzewiem kolejnej fali ekspansjonistycznych wysiłków Moskwy stała się kilka lat temu koncepcja władzy przyjęta przez Władimira Putina. Rosyjski przywódca oparł gospodarkę Rosji na surowcach energetycznych. Ceny ropy i gazu decydują obecnie nie tylko o stabilności władzy w Federacji Rosyjskiej, ale również o jej polityce zagranicznej. Finlandyzacja nabrała nowego wymiaru. Zamiast niebezpieczeństwa agresji problemem jest raczej możliwość zakręcenia kurka. Rezultaty takiej polityki widać doskonale, kiedy demokratyczne państwa dobrowolnie podporządkują się oczekiwaniom Rosji w zamian za stabilne dostawy surowców energetycznych.

W finlandyzacyjne zakusy Rosji wpisuje się postulat Moskwy, by utrwalić w naszej części Europy swoistą "próżnię bezpieczeństwa". Faktycznie pod szczytnym hasłem rozbrojenia regionu kryje się próba uniemożliwienia samodzielnego prowadzenia polityki bezpieczeństwa przez poszczególne kraje. Przykład? Rosyjski sprzeciw wobec instalacji obronnych elementów amerykańskiego systemu przeciwrakietowego w Czechach i Polsce. Dopełniają to także, inspirowane przez Moskwę, plany instytucjonalizacji ładu europejskiego. Dzisiaj nazywa się to "nową koncepcją bezpieczeństwa" prezydenta Dmitrija Miedwiediewa. Wrażenie nowości znika, jeśli spojrzymy kilkadziesiąt lat wstecz i zatrzymamy się na końcu epoki stalinowskiej. Przypomnijmy sobie plany: Rapackiego z 1957 roku, Gomułki z 1963, Olofa Palmego z 1982, Husáka i Honeckera z 1986, Jaruzelskiego z 1987, niesławne NATObis Wałęsy z 1992 czy próby zwiększenia roli KBWE z pierwszej połowy lat 90.

Cofnijmy się zaledwie o kilka lat, do początku XXI wieku, i prześledźmy rosyjską strategię bezpieczeństwa narodowego czy debatę na szczytach rosyjskiej władzy, w której prym wiódł dzisiejszy minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow. Zobaczmy wówczas, że

wiele się w rosyjskiej retoryce nie zmieniło i choć każda z tych inicjatyw powstawała w innej sytuacji historycznej, to ich treść była podobna. Niezmiennie chodziło bowiem o ograniczenie suwerenności krajów naszej części Europy i uczynienie ich bezpieczeństwa przedmiotem ogólnych gwarancji Rosji i NATO.

W wielu wypowiedziach, także polskich polityków, dostrzec można strach przed tym, co pomyśli Rosja. Autocenzura w ekspresji politycznej jest jednym z rezultatów finlandyzacji, która daje ogromne możliwości ingerowania w politykę wewnętrzną krajów nią objętych.

Istota finlandyzacji polega na tym, że z czasem zaczyna ona też dotyczyć wewnętrznej polityki poszczególnych krajów, w których rozpoczyna się konkurencja na samoograniczenie się. Kreml, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństw posądzania o rusofobię, nadal świetnie rozgrywa w wewnętrznej polityce sąsiadów kwestię, kto jest "skłonny do współpracy", a kto jest "wrogiem". W ostatnich latach Władimir Putin, starając się uzyskać konkretne reakcje na polskiej scenie politycznej, często krytykował niektórych polskich polityków i chwalił innych. Falszywie piętnując prezydenta Lecha Kaczyńskiego i PiS jako siły niechętne Rosji, dawał też znak elitom na Zachodzie, z kim nie ma ochoty prowadzić dialogu, a tym samym wskazywał "konstruktywne" siły w Polsce.

Polska polityka zagraniczna. Z kim? Przeciw komu?

Paweł Zalewski, Posel do Parlamentu Europejskiego, były przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych

Ciągle aktualne jest pytanie: czy Polska ma być krajem, który przeniesie się do jakiegoś centrum przynajmniej europejskiego, chociażby przy założeniu, że sama Europa będzie spychana coraz bardziej przez takie państwa jak chociażby Chiny czy Indie? Czy chcemy być eksporterem technologii, a kiedyś być może również kapitału, czy też całkowicie satysfakcjonuje nas obecna sytuacja kraju, będącego de facto podwykonawcą dla wielkich? Czy wybieramy wariant minimalistyczny - model kraju wlokącego się w ogonie wielkich, bez specjalnych aspiracji budowania np. własnej wizji Unii Europejskiej, nawet jeżeli ona jest dzisiaj nierealistyczna.

Dziś nawet takiej nierealistycznej w krótkim okresie wizji nie wypracowaliśmy. To, że to jest możliwe i to że myślenie w tych kategoriach nie jest takim pustym ćwiczeniem intelektualnym, pokazuje chociażby rozwój niektórych państw Europy i Dalekiego Wschodu w ciągu ostatnich 50 - 60 lat.

Projektując strategię, trzeba odpowiedzieć na wiele pytań, np. w jaki sposób polityka zagraniczna ma umożliwić dostęp do zasobów kapitałowych, technologicznych. Jakie mają być obszary ekspansji, rynki zbytu? W jaki sposób polityka zagraniczna może zapewnić bezpieczeństwo? Tu jest niezbędna analiza zagrożeń i możliwości. W taki sposób projektuje się politykę suwerennego państwa.

W tym momencie dochodzimy do rzeczy bardziej konkretnych, do problemu partnerów, którzy w tej polityce mają nam pomóc. Pytanie, które formułował Rafał Ziemkiewicz: z Rosją czy Niemcami, Wschód czy Zachód?, w moim przekonaniu jest dosyć łudzące. Tak ostrej alternatywy nie ma. Polska już wybrała, wchodząc do NATO i UE. Wydaje mi się, że najważniejsze dzisiaj jest to, aby Polska była w stanie definiować po pierwsze własne interesy

w relacjach z partnerami - szczególnie z naszymi sąsiadami, jak np. Ukrainą, którą mylnie i krzywdząco niektórzy postrzegają jako przedmiot do regulowania stosunków z Rosją, ale również układać działania według racjonalnych priorytetów.

W jaki sposób Polska może zbudować pozycję, aby z tą wizją Europy, która powinna w Polsce powstać, przebić się w Unii Europejskiej? Wielka polityka niespecjalnie ceni ważne idee, lecz siłę tych, którzy je zgłaszają. Jedno z rozwiązań, za którym od lat się opowiadam, to konsolidowanie Europy Środkowej.

Kiedyś interesowało mnie pytanie, dlaczego kraje Europy Środkowej w okresie międzywojennym nie były w stanie - mimo oczywistych interesów - zbudować jakiegoś bloku między Rosją a Niemcami. Zaważyła na tym gospodarka. Wszystkie państwa Europy Środkowej były powiązane promieniście z Niemcami. Powiązań między nimi praktycznie nie było. Polityką Polski, Węgier, Rumunii rządziła logika walki o dostęp do z jednej strony rynku niemieckiego, z drugiej - walki o kapitał niemiecki. W takiej sytuacji szalenie trudno jest tworzyć bloki polityczne, które miałyby na celu przeciwstawienie się Niemcom.

Jak się spojrzeć na dzisiejsze przepływy kapitałowe, inwestycje, handel zagraniczny, sytuacja jest już dużo lepsza. Powiązania istnieją, ale w moim przekonaniu ciągle w za małym stopniu, żeby budować coś, co powinno być naszą aspiracją, ambicją - tożsamość Europy Środkowej. Ona dzisiaj jest konstruowana wyłącznie na poziomie negatywnym, tzn. walki w UE z narzucanymi nam kosztami modernizacji.

Pozytywnym przykładem polityki konsolidacji gospodarczej Europy Środkowej była polityka Orlenu: wykupienie udziałów w czeskim Unipetrolu, a następnie w litewskich Możejkach. To był konkretny pomysł na zbudowanie regionalnego koncernu paliwowego. Ta polityka została zaniechana. Ale można i trzeba do niej wrócić. Dzisiaj wielką szansę zbudowania poważnej grupy kapitałowej w Europie Środkowej, z dużymi możliwościami jak na region, ma PZU. Oczekuję, że ten pomysł, zaprezentowany przez prezesa PZU, będzie wspierany przez państwo.

Stosunkami międzynarodowymi rządzi logika zakładająca pewien podział ról między państwami. Ich zadania zależą od położenia geograficznego, od potencjału, od sytuacji w krajach partnerskich. Logicznym zadaniem i miejscem dla Polski jest właśnie aktywność na Wschodzie, rozumiana jako wsparcie dla rządów prawa i demokracji. Polska wówczas była skuteczna, gdy to swoje logiczne miejsce wykorzystywała, realizując politykę, która była pewną wartością międzynarodową.

Przykład przytoczony przez Pawła Kowala jest bardzo dobry: polityka Kwaśniewskiego dobrze wpisywała się w logikę zadań Polski. Zostało to zrobione w sposób umiejętny metodologicznie, poprzez dobór odpowiednich partnerów, właściwych argumentów, w odpowiedni sposób przeprowadzone. To pokazuje, że Polska, jeżeli będzie potrafiła umiejętnie realizować cele, które są ważne dla Unii Europejskiej, a więc poszerzać obszar rządów prawa i demokracji na Wschodzie, ma szansę na poparcie ze strony partnerów zachodnich i może osiągnąć sukces.

Konkludując, uważam, że dzisiaj niezbędna jest poważna dyskusja nad projektami polskiej polityki zagranicznej mieszczącymi się w strategii rozwoju państwa. Wszyscy muszą się zgodzić, że warunkiem jej skuteczności jest jej wyłączenie z walki politycznej w Polsce.

Musimy też odpowiedzieć na pytanie, kim chcemy być, w sposób wykraczający poza naszą zachodnią tożsamość. Definiując wizję Polski za kilkanaście lat, musimy także odpowiedzieć na pytanie dotyczące zagrożeń bezpieczeństwa. I nie przesadzając z zagrożeniem rosyjskim, uważam, że Polska powinna podjąć decyzję, by stanąć mocno na własnych nogach. Powinniśmy znacznie więcej łożyć na budżet obronny, tak żeby on był realny z punktu widzenia przyszłych zagrożeń, np. takich, które były ćwiczone podczas manewrów "Zapad" czy "Ładoga 2009". To musi być uzgodnione politycznie pomiędzy głównymi partiami w Polsce, bo to oznacza bardzo silną redystrybucję pieniędzy, i to nie w ten obszar, który przynosi największy zysk polityczny.

Jak nie przegrać w Europie, jak wygrać w Europie

Łukasz Warzecha, komentator "Faktu", członek rady redakcyjnej "Międzynarodowego Przeglądu Politycznego"

Podstawową kwestią, nim odpowie się na postawione w tytule pytanie, jest ustalenie, czy bliski jest nam idealistyczny czy realistyczny paradygmat stosunków międzynarodowych. W przypadku Unii Europejskiej sprowadza się to do dwóch kluczowych kwestii.

Kwestia pierwsza - czy uznajemy istnienie wspólnego interesu europejskiego jako samoistnej, autonomicznej kategorii, oderwanej od interesów poszczególnych państw członkowskich. Sądzę, że nie istnieje autonomiczny interes europejski. Interesem europejskim możemy nazywać wspólny interes państw członkowskich, czyli część wspólną interesów wszystkich państw UE, a jest to zwykle część stosunkowo niewielka. Analiza motywów działania aktorów europejskiej gry, stawianych i osiąganym celów oraz używanych instrumentów wskazuje, że istotą wewnątrz europejskiej polityki jest nadal tradycyjna gra interesów państw, tyle że ubrana w unijne rozwiązania instytucjonalne.

Kwestia druga dotyczy tego, jak traktujemy warstwę retoryczną przykrywającą w Unii Europejskiej realną politykę. Kiedy unijny Konwent przygotowywał projekt, który wszedł w życie jako traktat lizboński, w Internecie uruchomiono forum dyskusyjne, odbywały się spotkania z obywatelami, przedstawiciele elit powtarzali, że proces tworzenia unijnej konstytucji musi uwzględniać vox populi. Realna polityka była jednak robiona w prezydium Konwentu, a nawet jednoosobowo przez jego przewodniczącego Valéry'ego Giscarda d'Estaing. Głos obywateli nie miał żadnego wpływu na kształt unijnej konstytucji.

Tymczasem realna polityka w Unii to podział pieniędzy, interesy gospodarcze, subsydia, stosunki z innymi rejonami świata. Decyzje dotyczące tych obszarów są na użytek publiczny uzasadniane przesłankami branżowymi ze sfery teatralnej. Opinia publiczna właściwie w ogóle nie poznaje rzeczywistych uzasadnień rozmaitych istotnych decyzji. Dociera do niej wyłącznie specyficzny bełkot będący zaawansowaną odmianą żargonu dyplomatycznego.

Co to właściwie znaczy: nie przegrać w Unii, wygrać w Unii. Wygrana w Europie musi polegać na maksymalizacji zysków z naszego uczestnictwa w tym klubie, maksymalizowaniu wpływu na mechanizm podejmowania decyzji, tak aby były jak najkorzystniejsze z punktu widzenia polskiego interesu, oraz zwiększanie naszego, szeroko rozumianego, bezpieczeństwa za pomocą dostępnych w Unii instrumentów.

Jakich potrzebujemy instrumentów, aby skutecznie działać w sferze realnej unijnej polityki?

Pierwszy instrument to profesjonalna dyplomacja, przy czym przez dyplomację rozumiem także sposób, w jaki elita polityczna korzysta z aparatu dyplomatycznego. Można bowiem mieć doskonale funkcjonujący aparat, a przy tym lidera, który wcale nie ma ochoty lub nie potrafi z niego korzystać.

Krokiem wstecz było włączenie Urzędu Komitetu Integracji Europejskiej w strukturę MSZ. UKIE był instytucją zatrudniającą młodych, dynamicznych ludzi, którzy nie chcieli uczestniczyć w koteriach i układach panujących w ministerstwie. Nie ma się co łudzić: dorobek wielu lat zostaje w ten sposób zniweczony. Jeśli chodzi o MSZ, profesjonalizm i skuteczność działania dyplomacji polskiej w porównaniu z niemiecką, francuską czy brytyjską jest, łagodnie rzecz ujmując, bardzo umiarkowana.

Drugi instrument to korzystne rozwiązania instytucjonalne i dotyczące mechanizmów podejmowania decyzji. W tej dziedzinie pozwoliliśmy sobie narzucić rozstrzygnięcie niekorzystne, jakim jest system głosowania w Radzie UE podwójną większością. Jeśli wziąć pod uwagę nowe struktury wprowadzone na mocy traktatu lizbońskiego, to wszystko wskazuje na to, że Polacy nie będą licznie, albo nawet wcale, reprezentowani w puli liczących się stanowisk w nowej służbie zewnętrznej Unii Europejskiej.

Trzecim instrumentem jest uczestnictwo Polaków w strukturach unijnych. Z tym również jest niezmiernie słabo. Albo dlatego, że dany rząd nie widzi potrzeby, żeby tę sprawę stawiać twardo, albo dlatego, że choć stawia sprawę twardo, brak mu umiejętności negocjacyjnych.

Jeśli już takie stanowiska nam przypadają, to kwestia działania na rzecz polskiego interesu wydaje się dla osób obejmujących te stanowiska czymś jakby niestosownym. W taki sposób funkcjonowała w Komisji Europejskiej Danuta Hübner; coraz bardziej też jasne jest, że w taki sposób funkcjonuje na stanowisku przewodniczącego Parlamentu Europejskiego Jerzy Buzek.

Jaki status ma dzisiaj Polska w Unii? Moim zdaniem poniżej swojego potencjału. Nasz wpływ na decyzje, kierunek działania UE, a także niektóre odnoszone przez nas korzyści są na poziomie niższym, niż wynikałoby z takich czynników jak potencjał demograficzny czy gospodarczy naszego państwa. Wynika to, oprócz niedostatków instytucjonalnych i instrumentalnych, ze sposobu myślenia o polityce zagranicznej właściwego obecnemu rządowi i ministrowi spraw zagranicznych. Został on wyłożony w pamiętnym tekście Radosława Sikorskiego w "Gazecie Wyborczej". Minister skonstatował, że koniunktura międzynarodowa dla Polski się pogarsza, a nasze instrumentarium nie umożliwia nam pełnienia tak ambitnej roli, jaką przewiduje dla Polski obóz preferujący "politykę jagiellońską". Wniosek, jaki wysnuł, uznaję za niemożliwy do zaakceptowania. Brzmiał on, iż powinniśmy się ograniczyć w naszych ambicjach i skierować je na bieżącą, taktyczną, doraźną grę z zachodnimi partnerami. Nie było przy tym mowy o wyraźnej obronie naszych odrębnych interesów.

Aktualny brak środków nie może prowadzić do konkluzji, że jedynym wyjściem jest pogodzenie się z prowadzeniem gry poniżej naszego potencjału. Jeśli zgadzamy się, że dostępne dzisiaj instrumentarium jest nieadekwatne do potencjału, to powinniśmy zacząć się zastanawiać nad jego zmianą i ulepszeniem. Dysponując ulepszonym instrumentarium, możemy zacząć skuteczniej zabiegać o zapisanie i zinstytucjonalizowanie tych kwestii, na których najbardziej nam zależy. Mam na myśli przede wszystkim odpowiednie ujęcie kwestii bezpieczeństwa i solidarności energetycznej czy polityki wschodniej.

Konieczne jest podjęcie walki o odpowiedni udział Polaków w podziale unijnych stanowisk.

Celowe byłoby zorganizowanie - bądź przywrócenie, jeśli myślimy o UKIE - specjalnego aparatu dyplomatycznego zajmującego się wyłącznie tą dziedziną.

Co się stanie, jeżeli pozostaniemy przy obecnym stanie rzeczy? Nie nastąpi oczywiście żadna spektakularna katastrofa. Będzie natomiast postępować stopniowa degradacja pozycji Polski.

Głosy w dyskusji

Bronisław Wildstein, Publicysta „Rzeczpospolitej”

Zacznę od motta z piosenki Jana Krzysztofa Kelusa z 1981 roku "A teraz będzie polityczny przytyk, że co drugi volksdeutsch był real polityk". Nie w tym rzecz, żeby odmawiać polityce potrzeby realizmu. Jest to jednak wyjątkowo niebezpieczne pojęcie, które definiować można bardzo różnie. Zwykle służy ono usprawiedliwianiu postaw, które mniej mają wspólnego z realizmem, a więcej z oportunizmem, żeby nie powiedzieć gorzej. Niepokojącym elementem naszej polityki są też ciągle sugestie, że powinniśmy grać w drugiej lidze. Granie w drugiej lidze oznacza granie w trzeciej, a w efekcie dobrowolne skazywanie się na finlandyzację. W sytuacji gdy ciągle mamy realną niepodległość, kiedy dysponujemy środkami do prowadzenia polityki zagranicznej, wyrzekamy się jej, a w konsekwencji naszej suwerenności, podmiotowości czy wręcz niepodległości.

Zgodziłbym się z moimi przedmówcami, że zmarnowaliśmy 20 lat. I to jest gigantyczne oskarżenie naszych elit rządzących. Cel pierwotny, tzn. przystąpienie do NATO i Unii Europejskiej, potraktowany został przez nasze elity jako finał polityki. Po jego osiągnięciu mieliśmy uzyskać ostateczne bezpieczeństwo i spełnienie. Potem to już Unia Europejska i NATO miały realizować naszą politykę zagraniczną.

Po pierwsze, Unia Europejska nie może wspólnej polityki zagranicznej, gdyż nie sposób stworzyć wspólnoty różnych interesów składających się na nią państw. Jeśli będzie ją jednak miała, to polityka ta będzie niezgodna z interesem Polski. Dlatego, że będzie realizowana przez dominujący układ w Europie, a to jest układ niemieckofrancuski, który ma w podstawowych kwestiach odmienne interesy od Polaków. Widać to w ich relacjach z Rosją. Ideałem dla tego tandemu jest właśnie finlandyzacja Polski.

Jeśli natomiast chodzi o NATO, to przestaliśmy poważnie traktować naszą obronność, bo scedowaliśmy ją na NATO. Uznaliśmy, że wystarczy wypełniać nasze sojusznicze zobowiązania, tzn. wysyłać wyspecjalizowany kontyngent dla wsparcia naszych aliantów. W rzeczywistości musimy bronić się sami. Można sobie wyobrazić realną sytuację, że Rosja posłuży się przeciw Polsce np. Białorusią, wywołując lokalny konflikt, od którego nasi sojusznicy będą woleli trzymać się z daleka. Nie jesteśmy zupełnie przygotowani na taki rozwój wypadków.

Agresja rosyjska na Gruzję pokazała, że może przydarzyć się to, co jeszcze bardzo niedawno wydawało się niewyobrażalne. Coraz bardziej prawdopodobne jawią się wielkie konflikty, przy których polskie bezpieczeństwo przestanie być istotne dla tych dominujących graczy, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, na których chcieliśmy scedować naszą obronę. Unia

Europejska nie ma żadnych mocy militarnych i wyobrażenie, że tworzące ją państwa będą walczyły za siebie, wydaje się więcej niż naiwne.

Antoni Dudek, Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego

Mam wrażenie, że jedna rzecz została za słabo wybita, choć pojawiała się w tle. Jakikolwiek byśmy mieli pomysł na naszą politykę zagraniczną, to punktem wyjścia musi być sytuacja, w której Warszawa będzie mówiła jednym głosem. W tej chwili mamy sytuację dwugłowej egzekutywy i permanentnego konfliktu trwającego od roku 1990. Przez te lata kolejni prezydenci i premierzy wydzielali sobie ster polityki zagranicznej. Na szczęście do 2004 r. byli na ogół zgodni, w którym kierunku chcemy płynąć. Dlatego nie zgadzam się z Bronisławem Wildsteinem, że aż 20 lat zostało straconych. Straciliśmy ostatnie pięć i pół roku, już po wejściu do Unii Europejskiej, a wcześniej do NATO. Ja wołam Polskę w obu tych strukturach niż poza nimi, niezależnie od ich słabości, która się robi coraz wyraźniejsza. I to jest rzeczywistość dla nas wyzwanie.

Jeżeli przyjmujemy skrajnie pesymistyczny pogląd Rafała Ziemkiewicza, że już nic od nas nie zależy, to powinniśmy się natychmiast rozejść. Nie zrobiliśmy tego, bo nie do końca się z nim zgadzamy, bo sądzimy, że mamy jeszcze jakieś aktywa i możliwość działania. Propozycja pierwsza to budowanie znaczenia Polski jako regionalnego lidera Europy Środkowo-Wschodniej i opieranie na tym naszej pozycji w Unii Europejskiej. Druga opcja to dołączenie do koncertu mocarstw jako słabszy, ale jednak średniej wielkości kraj, szósty kraj Unii. Jeśli mimo tandemu francusko-niemieckiego Hiszpanie, Brytyjczycy, Włosi mają coś do powiedzenia, to dołączmy do tej grupy i my, nawet jako najslabszy partner. W ten sposób będziemy mieli te swoje 10 proc. wpływów. Uważam, że te dwie opcje się nie wykluczają i powinniśmy próbować realizować je równolegle. Tam, gdzie zyskujemy na byciu liderem regionalnym, powinniśmy próbować budować taki sojusz. Tam zaś, gdzie zyskujemy jako szósty kraj Unii, powinniśmy basować koncertowi mocarstw. Jest to jednak możliwe tylko wtedy, gdy ster polityki zagranicznej będzie trzymał jeden człowiek (może to być zarówno premier, jak i prezydent), który nie będzie się musiał koncentrować na tym, żeby mu go nie wyrwał ten konkurent do krzesła w Brukseli.

Wydaje mi się, że powinniśmy grać na wielu fortepianach - nie tylko unijnym czy amerykańskim. Stąd moja niedawna propozycja zbliżenia z Chińczykami, która u wielu osób wywołała ironiczny uśmiech. Zdaję sobie sprawę, jaki reżim panuje w Chinach. Nie mam złudzeń, że nagle w miejsce wpływów niemieckich, rosyjskich czy amerykańskich w Polsce pojawią się wpływy chińskie jako dominujące. To byłoby absurdalne. Uważam jednak, że Polska jako kraj średniej wielkości, położony w tym, a nie innym miejscu Europy, musi angażować różne siły po to, żeby je wzajemnie równoważyć. Chiny, które w ciągu najbliższych 20 lat staną się drugim globalnym supermocarstwem, będą potrzebowały w Europie państwa bądź państw, reprezentujących ich interesy. My nigdy nie mieliśmy cienia szansy wygrać rywalizacji z Brytyjczykami o to, żeby być głównym partnerem Stanów Zjednoczonych w Europie. Możemy natomiast powalczyć z Francuzami o to, żeby to Polska, a nie Francja, o co dziś wyraźnie Paryż zabiega, była głównym partnerem Chin w Europie. Wydaje mi się, że to jest niewykorzystana szansa. Choćby dlatego, że Chińczycy mogą u nas sporo zrobić np. w sferze infrastruktury, podczas gdy Francuzi mają już te sprawy rozwiązane i Chińczycy nie mają tam czego szukać.

Piotr Skwieciński, publicysta „Rzeczpospolitej”

Czy Polsce może grozić finlandyzacja? Na skutek jakichś straszliwych okoliczności natury zewnętrznej, mniej więcej analogicznych jak te, które spotkały Finlandię - tak. W innych natomiast okolicznościach zaryzykowałbym tezę, że nie. Ci, którzy by nas chcieli sfinlandyzować z zewnątrz (czytaj: Rosja), musieliby mieć tutaj partnerów, którzy by działali na tę rzecz nieprzymuszeni. Ja takich partnerów w liczącej się skali w Polsce nie widzę w tej chwili, bo z całą pewnością nie są takimi partnerami obecny rząd i obecna partia rządząca. Polemizując z pewnym duchem, który emanował w niektórych momentach wystąpień moich poprzedników, ja - jeżeli chodzi o politykę wschodnią obecnego rządu - znajduję te wady, które widzę w ogóle w polityce PO. Jest to bałagan, przewaga PR nad polityką merytoryczną. Przerost ego kilku polityków, m.in. ministra spraw zagranicznych, nad pracą merytoryczną. Jednak jeśli chodzi o bezpieczeństwo energetyczne, nie mam wrażenia, żeby w Polsce w ciągu ostatnich dwóch lat zostały zarzucone - w sensie decyzji polskich czynników sprawczych - projekty oparcia się na surowcach energetycznych nierosyjskich. Mam wrażenie, że one po kolei jeden za drugim bankrutowały. Nie udawały się. Ale nie na skutek zaniechań strony polskiej ani z powodu zmiany jakiejś koncepcji, tylko ze względu na to, że potencjał Polski w starciu z potencjałem rosyjskim na rozmaitych polach zawsze okazywał się za mały, a sojuszników nie mieliśmy - albo mieliśmy bardzo słabych.

Skrócony zapis debaty, która odbyła się 25 stycznia w redakcji "Rz".

Za „[Rzeczpospolitą](#)”, 6-7 lutego 2010 r.